



HISTORIA JEST KOBIETĄ

5 kwietnia 2009 nr 14 | Kraków

SPECJALNY DODATEK
„TYGODNIKA Powszechnego”
Redakcja: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak

TYGODNIK POWSZECHNY

Dodatek edukacyjny,
powstał przy współpracy
z Instytutem Pamięci Narodowej



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



WOJCIECH PLEWIŃSKI

Kobieta tworzy historię

Nic ich nie ominęło: wojna, obozy, więzienia, rozłąka. Były wszędzie. Jeśli było trzeba, walczyły jak mężczyźni.

Gdy oni odpoczywali po walce, zajmowały się całą resztą, przypisaną im od wieków: opieką nad rannymi, praniem, gotowaniem. Ktoś musiał to przecież robić: podać kawę, zaszyć spodnie, wyprać bandaże. Także w latach powojennych tworzyły historię: konspirowały, jednocześnie będąc żonami i matkami. Do więzienia, gdzie siedział mąż, nosiły paczki. Albo same

tam trafiały – bywało, że razem z dziećmi. Ich doświadczenie historii można traktować jako pełniejsze. A przede wszystkim – trochę inne niż doświadczenie mężczyzn, bo, jak widać w wielu wspomnieniach, uczestnicząc w tych samych wydarzeniach co mężczyźni, zapamiętały je nieco inaczej.

Historia XX w. to historia dwóch totalitaryzmów. Jeśli spojrzeć na nią z kobiecą wrażliwością, widać rzeczy, których wcześniej sobie nie uświadamialiśmy. Wiele z tych historii, tragicznych jak tragiczny był to wiek, niesie z so-

bą – o dziwo – coś dobrego i pięknego. Oczywiście, nie wszystkie kobiece historie są takie. Ale nie o kobietach pozostających na usługach systemów totalitarnych (jak strażniczki w obozach, konfidentki UB/SB) tu opowiadamy. Ten dodatek to jakby zbiorowy portret kobiet, które prowadziłyby, być może, całkiem zwykłe życie, gdyby nie konieczność sprostania sytuacjom niezwykłym. To zarazem skromna próba przełamania męskiego spojrzenia na historię.

PATRYCJA BUKALSKA

LISTY w strumieniu

PROF. BARBARA OTWINOWSKA:

DZIENNIKARZE PYTAJĄ NAS, CZY NIE CHCEMY
ZEMSTY. ALE TO JEST NAM DALEKIE.

WE WSPOMNIENIACH KOBIET-WIĘŹNIAREK,
KTÓRE ZEBRAŁAM, NIE ZNAJDUJĘ TEGO ELEMENTU,
CHOĆ W WIĘZIENIACH PRL-U DRĘCZONO
JE STRASZLIWIE.

PATRYCJA BUKALSKA: O kobietach w stalinowskich więzieniach mówi się niewiele i od niedawna. O tych, które cierpiały podwójnie, bo z powodu oddzielenia od dzieci, wie mało kto. Cęła matek na Mokotowie: co to było?

PROF. BARBARA OTWINOWSKA: To było na oddziale kobiecym na tzw. ogólniaku. Trafiały tam kobiety już po wyrokach. Ja też przeszłam na „ogólniak”, do dużej celi, w której siedziało ok. 20 kobiet-więźniarek politycznych. Resztę stanowiły volksdeutschki i kolaborantki, skazane za współpracę z Niemcami. Tak jak umieszczono Kazimierza Moczarskiego z Jürgenem Stroopem w jednej celi [jednego z dowódców AK z esesmanem odpowiedzialnym za likwidację getta – red.], tak również i nas chciano w ten sposób upokorzyć i pokazać, że jesteśmy wrogami Polski. Oficjalnie nazywano nas „antypanstwówki”, nie miałyśmy prawa nazywać się więźniami politycznymi. Pamiętam pierwszy spacer: duże koło, po którym krążyłyśmy pojedynczo. Trochę dalej była ławeczka i placik, tam dreptały za swoimi rocznymi synkami dwie panie: Zofia Kardaszewicz z Jasiem i Myra Śliwińska, Angielka, ze Stefankiem.

► **Angielka, która wyszła za Polaka?**

Myra wyszła za mąż za polskiego pilota, obrońcę Londynu, którego uratowała. W czasie wojny służyła w Wielkiej Brytanii w pomocniczej służbie kobiet i nakierowała samolot tego Polaka tak, by nie zaplątał się w balony zaporowe nad Londynem. Po wylądowaniu dowiedział się, która z kobiet go wtedy pilotowała. Pobrali się i po wojnie przyjechali do Polski. On rzeczywiście miał zebrać jakieś informacje wywiadowcze dla rządu londyńskiego. Było to chyba w dzień chrzcina Stefanka, Śliwińscy zrobili przyjęcie i z tego przyjęcia zostali zgarnięci: on, ona i dziecko. W tej samej akcji został także aresztowany Stanisław Skalski i kilku innych przyjaciół lotników. Myra była wysoka, szczupła. Pozostała nadal w sukni, w której przyjmowała gości: długiej, jedwabnej, w kolorze maków.

► **W wizytowej sukni w więzieniu?**

→ STR. III

Śłuchaj więcej w audycji Grzegorza Chlasty
w środę o 16.45, w Radiu TOK FM



ZAWOŁANE *po imieniu*

NIE MAJĄ POMNIKA ANI DATY, KTÓRA UŁATWIAŁABY

PIELĘGNOWANIE ICH PAMIĘCI.

NIE WIADOMO NAWET, ILE ICH BYŁO.

POKOLENIE KOBIEC, KTÓRE DŁUGIE

LATA SPĘDZIŁY W STALINOWSKICH

WIĘZIENIACH. NAJCZĘŚCIEJ

NAJLEPSZE LATA ŻYCIA.

ANNA MACHCEWICZ

Trzeba to od razu napisać: ich życie nie mogło być zwyczajne. Ani nudne. Przeszłość zapisana jest w ich pamięci z fotograficzną precyzją.

Najpierw jest w nich wojna: lata osvajania się z lękiem i cierpieniem.

Teresa Drzał pamięta, jak na zesłaniu kopała z chłopcami doły w śniegu: – Miałam 9 lat i chyba ze 130 cm wzrostu. Wsadzali mnie w tę dziurę, żeby zmierzyć jej głębokość. Matka rąbała drzewo w lesie, potem została pielęgniarzka, położną i sprzątaczką w punkcie medycznym. To uratowało ją, mnie i siostrę.

Na Syberię trafiły wraz z trzecią falą deportacji, latem 1940 r. Sowiecka okupacja ogarnęła je w leśniczówce pod Nieświeżem, gdzie z matką i siostrą spędzały wakacje 1939 r. Potem,

w 1941 r., ruszyły do Andersa, na południe. Ale armia ewakuowała się do Iranu, one nie zdążyły i utknęły w Uzbekistanie, aż do 1946 r.

Jadwiga Janiszowska pokazuje małe album. 17-latką na fotografii jest już w konspiracji, wciągnęły ją koleżanki z gimnazjum. Przysięgę AK składała przy karbidówce w kamienicy w Alejach Ujazdowskich. Wojskowe szkolenia („Takie padnij-powstań”) odbywały się w salce na Mazowieckiej. Zostawiała w tramwaju ulotki pisane po niemiecku („Gdzie byłam, dowiedziałam się już po wojnie, gdy przeczytałam u Nowaka Jeziorańskiego o Akcji N”). O strachu mówi: – Jak się człowiek do czegoś zobowiąże, to idzie i robi. Strach pojawia się już po fakcie.

Rozkaz o stawieniu się na zbiórce przed Powstaniem nie dotarł na czas, nie dołączyła do swojej jednostki: – Pozostałe cztery dziewczyny z mojej AK-owskiej „piątki” zginęły na Woli i Starym Mieście.

Jej obóz jeniecki wyzwalała dywizja Maczka. Kilkanaście zdjęć z lat 1945-47: roześmiane grupy młodzieży, jasnowłosa Jadwiga w zgrabnym mundurku w otoczeniu przystojnych chłopców: – To Norymberga, czekałyśmy prawie miesiąc na transport do Włoch, do Andersa; a to już Porto San Giorgio. Nad łózkami miałyśmy tiulowy baldachim, jak księżniczki.

Tam, we Włoszech, zdała maturę w polskim liceum powstałym przy wojsku. Ale w Polsce czekał ojciec i dwie siostry. – Wróciłam ostatnim transportem, w listopadzie 1948 r. Dalszych nie było – wspomina. Na studia już jej nie przyjęto: zaważyła rzekomo zła, bo „włoska” matura” i ten powrót o dwa lata za późno.

Jadwigę Janiszowską do antykomunistycznej organizacji wciągnęła koleżanka z AK.

– Nasza przysięga nadal obowiązywała, mieliśmy prowadzić walkę do zwycięstwa, bo Polska nie była wolna. Zostałam łączniczką. To trwało z półtora roku. Jeździłam pociągami do Zabrza i oddawałam jakieś przesyłki. Rozprowadzałam ludzi po lokalach w Warszawie.

– Ze była to organizacja o nazwie „Kraj”, dowiedziała się w śledztwie na Rakowieckiej.

Teresa Drzał mówi dziś, że one, repatriantki ze Wschodu, złudzeń nie miały:

– Wiedziałyśmy, do czego prowadzą rządy komunistów w Rosji. O III wojnie światowej mówiło się bez przerwy. Wierzyłyśmy, że to, co się dzieje w Polsce, nie potrwa długo. I że trzeba coś zrobić. Poza tym wszyscy znajomi byli w AK, a ja nic jeszcze nie zrobiłam dla Polski. Chciałam wreszcie coś z siebie dać. W domu przyjaciel pojawił się Wincenty Broniów-Orliński, kurier z Zachodu.

Zbierała dla niego informacje, które przekazywane były dalej; np. zapisywała numery wojskowych samochodów. Ale jeden z współpracowników wpadł gdzieś we wschodnich Niemczech, zaczął sypać i ruszyły aresztowania.

Obie w więzieniu znalazły się późno: Jadwiga Janiszowska w roku 1952, Teresa Drzał w 1953. Cele Fordonu (więzienie kobiece w dzielnicy Bydgoszczy o tej nazwie) i Inowrocławia zapęłniały już tysiące kobiet, więźniarek politycznych.

Barbara Otwinowska – dziś profesor, wtedy młoda żołnierka AK i uczestniczka Powstania Warszawskiego, która po wojnie za

udzielenie schronienia kurierowi dostała trzyletni wyrok – od lat stara się je policzyc. I po herbortowsku: zawołać po imieniu.

Próbowała już w latach 80., gdy wybuchła Solidarność. Przelamywała niechęć przed powro-

tem do wspomnień, przed dzieleniem się nimi; i strach, aby represje nie spadły na nowo i znów nie zburzyły życia. Prof. Otwinowska dobrze rozumiała te opory: – Chyba w 1981 r. poproszono mnie, abym opowiedziała niewielkiemu audytorium o swoich przeżyciach i choć spędziłam w więzieniu tylko trzy lata, było to trudne – wspomina.

Jadwiga Janiszowska o aresztowaniach wokół siebie usłyszała, to pamięta, we wtorek. – Już nic nie mogłam zrobić, tylko czekałam, kiedy po mnie przyjdą – wspomina.

UB przyszło po tygodniu: w poniedziałek o świcie. Był koniec czerwca 1952 r. Mimo upału, zamiast letniej sukienki naszykowanej poprzedniego wieczora, założyła ciepłe ubranie podane przez siostrę.

O przesłuchaniu mówi, że było jak wszystkie: śledczy na zmianę krzyczał, groził i wyzywał od najgorszych: – Potem zmieniał ton i mówił, że przecież jestem inteligentna, po co mam sobie szkodzić. Kłamałam, a to męczące. Nigdy wcześniej nie kłamałam – wspomina Jadwiga Janiszowska. – Godzinami bez jedzenia, czułam się jak w nierzeczywistym świecie.

Akta ze śledztwa liczyły wiele tomów. Na początku lat 90. obejrzała je w archiwum sądowym na warszawskim Lesznie. Dopiero wtedy dowiedziała się, że „Kraj” był jedną z największych siatek konspiracyjnych, jakie jeszcze działały w Polsce.

Teresa Drzał trafiła do więzienia już po śmierci Stalina. Na swoje szczęście.

15 października 1953 r. czarna pobieda zatrzymała się przy krawężniku: – Wracałam z pracy. Wysiedli obok mnie. W pierwszym odruchu ich wylegitymowałam. Zbaranieli i pokazali mi legitymacje – wspomina. – Zawsze lubiłam kryminały, a w prawie każdym jest taka scena, że gdy za aresztowanym zatraskują się drzwi cel, on bezsilnie bębni w nie pięściami. Wydawało mi się to absurdalne, ale moja reakcja była taka sama: walić pięściami i krzyżeć, że jestem niewinna... Śledztwo trwało 4 miesiące. Przesłuchania po 12 godzin. Bez bicia, bo to już było po zmianach. Ale słynny ubek Dusza wciąż był. Pamiętam jego rybie oczy.

Wyrok więzienia zaczynał nowy etap. Życie więźnia nabierało stabilizacji. Bo człowiek nie może się cały czas szarpać, buduje wokół siebie namiastkę życia, kładzie jakąś serwetkę na stoliku. Tak mówią były więźniarki.

Teresa Drzał o wyroku mówi lekceważąco: – Marne 5 lat. Dostałam je za „wiedział, nie powiedział”. A mogłam za szpiegostwo. Miałam dobrą adwokatkę, która się nie bała. W procesie rewizyjnym wywalczyła obniżenie wyroku do 4 lat. Najgorsza była obawa o matkę. Bo starsza siostra dostała w tym samym procesie 10 lat i mama została sama, schorowana po syberyjskich przejściach. Jeśli cokolwiek mogło mnie złamać, to obawa o nią.

Po wyroku Teresa spędziła dwa tygodnie w izolacie, codziennie namawiana do współpracy. Ubek szantażował ją ciężkim więzieniem i sytuacją matki. – Odmówiłam, bo wiedziałam, że mam oparcie w mojej pani adwokat – tłumaczy. – Gdyby nie to, nie wiem, co bym zrobiła. Dla

matki. Dlatego dziś wolę ostrożność w ocenianiu zachowań innych.

Jadwiga Janiszowska usłyszała wyrok: kara śmierci.

Miała 27 lat. – Zaskoczyło mnie to, chyba nic nie czułam. Byłam odrętwiała – mówi dziś. Ale szczegóły tego dnia pamięta z mikroskopijną dokładnością. I ludzkie odruchy w nie-ludzkim świecie. Kolejne korytarze, więzienna buchalteria, stukot drewniaków, nieoczekiwana troskliwość magazyniera, by więzienny strój miał właściwy rozmiar. – Leżał całkiem zgrabnie – mówi.

Czy chce być sama, czy z kimś? Takie pytanie usłyszała od funkcjonariusza, który przydzielał cele. – Pomyślałam, że cokolwiek powiem, on zrobi odwrotnie. Przez lzy wykrztusiłam, że nie sama. Jedyny raz się rozkleiłam. Byłam wykończona psychicznie i fizycznie – tłumaczy.

W celi, do której ją wprowadzono, były już dwie osoby.

Jak się ma „KaeSa”, to nie ma się widzeń i prawa do korespondencji. Do celi śmierci wpadał co jakiś czas oddziałowy i pytał: „Janiszowska, wolisz czapkę czy krawat?” (tj. strzał w głowę czy szubienicę). Po namowach adwokata napisała prośbę o łaskę. – Powiedział, że ojciec mnie prosi, żeby napisała. I napisałam, że chcę pracować dla kraju i społeczeństwa. Potem w celi koleżanka zapytała, czy „dla kraju” napisałam z dużej, czy z małej litery.

O zmianie „KaeS” na dożywocie dowiedziała się 4 kwietnia 1953 r. Była Wielka Sobota.

Wyrok więzienia zaczynał nowy etap.

Życie więźnia nabierało stabilizacji. Bo człowiek nie może się cały czas szarpać, buduje wokół siebie namiastkę życia, kładzie jakąś serwetkę na stoliku. Tak mówią były więźniarki.

O strasznych warunkach sanitarnych prawie nie wspominają. To nie było najważniejsze. – Ważne były serdeczne kontakty między kobietami – opowiada Jadwiga Janiszowska.

Prof. Otwinowska: – Nasza cela, cela politycznych, to był salon. Właściwie w więzieniu poczułam się dowartościowana, tam spotkałam najwspanialsze osoby w moim życiu. Na ogół starsze ode mnie, z piękną kartą okupacyjną, wykształcone, mądre, dowcipne. Nawet „niepolityczne”, gdy trafiały do nas, odzyskiwały godność.

Podkreślają swoją twardość. – Oni czekali na naszą słabość, rozpacz, lzy – mówi Jadwiga Janiszowska. – Wiadomo było, że mogą nas zniszczyć fizycznie i psychicznie. Więc tam uczucia się tłumi. Trzeba się trzymać, nie można pokazać im, że nas cokolwiek to obchodzi.

– Czasem byłyśmy okrutne – przyznaje prof. Otwinowska. I opowiada, jak Stanisława Płużańska została ostro skarcona przez koleżanki za to, że rozplakała się na wieść o ułaskawieniu męża, skazanego wcześniej na karę śmierci.

Ważna była przyjaźń, która zastępowała rodzinę i potrzebę bliskości. Było ukradkowe śpiewanie, przedstawienia, wspólne przeżywanie świąt. Były uczucia. – Stukaliśmy do siebie w rure biegańczą przez nasze cele i tak zaczął się flirt. Potem złożyliśmy sobie całkiem poważne śluby. Bo w najtrudniejszych chwilach człowiek łaknie bliskości, to jest oznaka życia – tłumaczy Jadwiga Janiszowska, która przeżyła więzienną miłość, choć bez happy endu: – Na wolności spotkaliśmy się potem tylko raz.

Wolność nadchodziła zawsze niespodziewanie.

Otwinowska pamięta, że opuszczając więzienie w 1950 r. czuła, jakby dopuściła się

ROBERT KOWALEWSKI/AGENCJA GAZETA



Prof. Barbara Otwinowska: Chyba w 1981 r. poproszono mnie, abym opowiedziała niewielkiemu audytorium o swoich przeżyciach i – choć spędziłam w więzieniu tylko trzy lata – było to trudne.

IRENA TOMALAKOWA
KOŁYSANKA WIĘZIENNA

Dość już, Jasiu, psot,
Śpi już bury kot,
Już po ścianie chodzi Baj
Rozebrać się, Jasiu, daj.
W mieście Anioł Pański dzwoni,
Śpią już lalki, miś i konik –
Mama także śpi w Fordonie,
śni o tobie jak ty o niej
myślą z tobą zawsze też
chodź, Maluśki, już. (...)

Nie płacz, cicho śpij,
O Mamusi śnij.
I we śnie się ciesz –
Złe kończy się – wiesz.
I ty doświadczenie masz,
Kraty, klucze, apel – znasz.
Urodziłeś się w więzieniu,
Złodziej grał ci na grzebienu,
Kołysały cię bandytki
I uczyły słówek brzydkich.
Polityczne, Jasiu, też –
O nich snów się strzeż!

● Kołysanka napisana dla Zofii Kardaszewicz i jej synka Jasia, urodzonego w więzieniu na Mokotowie; 21 marca 1947 r.

zdrady. Jadwiga Janiszowska wyszła w 1958 r. i pierwsze kroki skierowała do kościoła, którego dzwony dotąd tylko słyszała.

Potem zwykle dom, rodzina, małe dzieci znane z listów, stół uroczyste nakryty, kąpiel w wannie, grające radio. Starania o pracę, częste jej zmiany. Ankiety osobowe, z rubryką o karalności wypełnianą aż do połowy lat 70. Ekskwizycji był w PRL obywatelem drugiej kategorii.

Do swej powojennej konspiracji Jadwiga Janiszowska ma dystans: – To nie było potrzebne. Tylu młodych ludzi zginęło. I moje życie mogło być inne. Ale przecież sama się zgodziłam. Nie powiedziałam „nie”. Może zabrakło mi wtedy odwagi, by odmówić. Ale moje intencje były czyste. I chyba prawidłowe.

Teresa Drzał wyszła w 1956 r., w środku „odwilżowej” euforii. Nawet wróciła do dawnej pracy, gdzie witano ją jak bohaterkę: – Szybko się to jednak skończyło. Mój dom przez długie miesiące był pierwszym schronieniem dla koleżanek wychodzących na wolność. My, byłe więźniarki, ciągnęłyśmy do siebie. Najpierw były spotkania w kawiarni „Krokodyl” na Starym Mieście, potem w „Wiklinie”, założonej przez Stanisława Mazurkiewicza „Radosława”, wreszcie już tylko w prywatnych mieszkaniach.

Mało wspominały. Aż do czasów Solidarności trwały w takiej półkonspiracji. Nie tylko ze strachu przed represjami. Jadwiga Janiszowska szuka analogii: – To jest tak jak wtedy, gdy komuś zdarzy się nieszczęście i ludzie boją się ten temat z nim poruszać.

Teresa Drzał do wspomnień wróciła w latach 80.: – Koleżanki słuchały i wołały: „To ciekawe, dlaczego nigdy nie opowiadałaś?!”. Mówiłam: „A czy wy kiedykolwiek pytałyście?”

– Wielu historii nie da się już odtworzyć, tyle nas odeszło. Czasem po barwnej postaci pozostał tylko suchy biogram – ubolewa prof. Otwinowska.

Właśnie przygotowuje kolejny numer „NI-KE”: to biuletyn środowiska byłych więźniarek. Ale zamieszczone w nim historie opowiadają historię całego pokolenia kobiet, które uczestniczyły w najdłuższej niepodległościowej epopei XX wieku. Prof. Otwinowska: – Nas nie skazywano przecież za niewinność, tylko za rzeczywiste opór. ◆

→ ANNA MACHCEWICZ jest dziennikarką i historykiem, pracuje w TVP Historia. Niedawno w wydawnictwie Znak ukazała się jej książka „Kazimierz Moczarski. Biografia”.

Listy w strumieniu

cd. ze str. I

Tak. I zabrała ze sobą Stefanka, ponieważ nie miała go z kim zostawić. Z kolei Jaś Kardaszewicz urodził się w więzieniu. I teraz obie panie dreptały po spacerniaku z tymi dziećmi, stawiającymi pierwsze kroki. Kiedy szliśmy w tym dużym kole, chyba wszystkie miałyśmy zwrócone głowy w stronę tych matek z dziećmi.

► Jakie były warunki dla dzieci w tak ciężkim więzieniu?

Straszne. Jedna z kobiet, które urodziły w więzieniu, opisywała potem, że miała tylko siedem pieluszek. Bez przerwy je prała i suszyła na sobie. Miały jakąś maszynkę, na której podgrzewały jedzenie. Jej mąż dostał karę śmierci, strasznie to przeżywała i dlatego nie miała pokarmu. Na szczęście była tam Ukrainka z bujną pierśią i dobrym pokarmem, która dokarmiła jej synka.

► Cele matek były lepsze od innych?

Niewiele się różniły, tak samo były zagęszczone. Były tam też kryminalne więźniarki.

► Jak długo mogło przebywać dziecko z matką? Cały wyrok?

Przeważnie do ukończenia roku lub trochę powyżej. Potem mogło dostać się do złobka więziennego. Ale na Mokotowie złobka nie było, to było więzienie śledcze, więc oddawano je na wolność rodzinie, przyjaciółom, komu się dało, albo zabierano je do domu dziecka. Matki zawsze walczyły, żeby tylko nie poszło do domu dziecka. Zwłaszcza że kierowano je tam bez nazwiska albo pod zmienionym nazwiskiem.

Natomiast w więzieniu w Fordonie, które było następnym etapem po zatwierdzeniu naszych wyroków, był złobek. Ala Winorowska z Rzeszowa miała karę śmierci i prokurator powiadził jej, że jeśli dziecko urodzi się żywe i zdrowe, może zmienią jej wyrok, ulaskawią, a jeśli nie, to wyrok wykonają. Urodziła swojego Stasia, zdrowego i jak trzeba. Została ulaskawiona – na dożywocie. W Rzeszowie byli kilka miesięcy razem i synek dobrze się rozwijał. Inne więźniarki, polityczne i kryminalne też bardzo jej pomagały. Zwłaszcza kryminalistki, które wychodziły na zewnątrz do pracy, mogły zdobyć to i owo, i przynosiły np. patyczki, na których można było coś podgrzać. Wszystkie dbały o to dziecko, było jakby wspólne. Potem jednak, gdy Ala została przewieziona do Fordonu, a Staś miał półtora roku, to go jej zabrano, właśnie do złobka. Raz na dzień mogła go zobaczyć, już nie karmiła. Dziecko zaczęło nikać w oczach, porobiły się wrzody, wysypki, kłopoty z żołądkiem. Ala podniosła alarm i pozwolono jej na wezwanie siostry, która przyjechała i wzięła dziecko na wieś. Ala była około 10 lat w więzieniu. Potem napisała we wspomnieniach, które ukazały się w naszej książce „Zawołać po imieniu. Księga kobiet – więźniów politycznych 1944–1958”, że gdy wyszła na wolność, długo chodziła na spacerze ze Stasiem i tak „oswajaliśmy się ze sobą”.

► To musiało być dla kobiet wstrząsające doświadczenie.

W 2003 r. zrobiliśmy wystawę w Londynie o głównych procesach w PRL-u. Zobaczyłam tam młodą i elegancką panią. Przedstawiła się i mówi: „Walicka”. Ja na to: „Walicka? To chyba za sprawy wileńskiej?” Okazało się, że jej matka dostała wyrok 12 lat więzienia, a ona wychowywała się u babci. Ojciec został stracony. Opowiedziała mi, że gdy mama wróciła z więzienia, była dla niej jak kompletnie obca osoba, do tego schorowana. Mówiono jej, że to mama, ale nie przyjmowała tego do wiadomości. Dziecko, które tak odrzuca matkę – to musiało być dla niej okropne.

► Co się stało z Myrą i Stefanikiem?

Gdy zorientowała się, że Stefanek zaczyna mówić i pierwszym jego słowem nie jest „mama”, ale słowo na „k”, bo w takim obraca się towarzystwie, wtedy uznała, że trzeba go oddać na wolność.

► Także taka decyzja o oddaniu dziecka musiała być trudna.

Dla dobra dziecka robi się wszystko, ale jednocześnie jest straszliwy żal, że się traci z nim kontakt. W każdym razie Myra nie miała tu nikogo z rodziny, rodzice męża zginęli w czasie wojny, a on został rozstrzelany na Mokotowie. W końcu znalazła się babcia, przyjechała i zabrała Stefankę. Potem okazało się, że babcia mieszkała w Toruniu w mieszkaniu ze wspólną kuchnią i łazienką razem z małżeństwem z Wileńszczyzny. Kiedy się dowiedzieli, że w domu zamieszka dziecko, byli niezadowoleni: mówili że są po ciężkich przeżyciach i chcą spokoju. Babcia obiecywała im, że postara się przeprowadzić z małym jak najszybciej. Przyjechała więc ze Stefanikiem do Torunia – i w przedpokojach rzuca się w ramiona tego

panu. Babcia wkrótce umarła, po czym to małżeństwo zajmowało się serdecznie malcem, aż do wyjścia Myry z więzienia.

► Bywało i tak, że kobieta trafiała do więzienia, a dziecko zostawało za murami. Śledczy z UB naciskali: „Chcesz zobaczyć jeszcze dziecko, współpracuj”. Tak szantażowali Annę Jakubowską „Paulinkę”, której grozili oddaniem synka do domu dziecka ze zmienionym nazwiskiem.

To były najboleśniejsze sytuacje. Jest wspomnienie Ewy Ludkiewicz z Fordonu, w jej książce „Siedem lat w więzieniu 1948-55”: w jej celi było kilkanaście kobiet, pracowały ciężko w pralni. Wracała kiedyś zmęczona, a tu leży nowa więźniarka, sparaliżowana młoda kobieta. Musiały się nią zająć. Na początku buntowały się, że to nie izba chorych. Ale pomagały jej. Ta dziewczyna urodziła w więzieniu dziecko i małego zabrano do domu dziecka. Zamartwiała się, gdzie jest. Jedna z Ukrainek, która wychodziła na wolność, obiecała, że odnajdzie jej syna. Zorientowała się, do którego domu dziecka trafił, poszła tam i dowiedziała się, że syn tej dziewczyny został zarejestrowany jako podwójna sierota i oddany do adopcji. Wzięło go bezdziejne małżeństwo. Matka dostała w końcu adres tych państwa i napisała do nich, że to jej dziecko i że chce go zabrać, jak tylko wyjdzie z więzienia. Państwo byli oburzeni, bo przecież adoptowali sierotę. Wtedy napisała drugi list, iż zdaje sobie sprawę, że nie będzie w stanie zajmować się synkiem, więc im go zostawi, ale prosi, by mogła coś o nim wiedzieć. Adopcyną matka przyjechała do więzienia. Gdy zobaczyła tę kobietę przyniesioną na noszach, rozplakała się. Przyniosła fotografię małego, potem przysyłali następne i roztoczyli opiekę nad tą matką. Te fotografie krążyły po Fordonie, wszystkie więźniarki chciały wiedzieć, jak mały wygląda, w jakim chodzi ubranku. Takie wspólne przeżywanie.

► Z tego, co Pani opowiada, wynika, że wokół takiego dziecka wiele działo się rzeczy dobrych, jakby dziecko wyzwało w ludziach to, co dobre.

Dziecko to zawsze dobro. Czasem dziennikarze pytają, czy nie chcemy zemsty. To jest nam dalekie. We wspomnieniach, które zebrałam, tego elementu nie znajduję. Kobiety były dreczone straszliwie, ale nie mają żądzdy odwetu. Natomiast wszelkie odruchy dobra z tamtej strony są zapamiętane. Np. jedna z więźniarek wróciła po wielogodzinnym śledztwie i znalazła miskę zupy postawioną na kaloryferze. Oddziałowa pomyślała: „Jak ona przyjdzie, niech ma tę zupę ciepłą”. Takie momenty są odnotowywane jako cuda.

► Czy fakt, że kobieta w więzieniu była też matką, pomagał przetrwać, czy przeciwnie: było to dodatkowe cierpienie?

To wzmacniało, ale było też źródłem jeszcze większej troski. Siedziałyśmy kiedyś z Wandą Kraszewską, harcmistrzynią, która miała opiekuńczy stosunek do młodych dziewcząt. I była też z nami Krysią z gór, z partyzantki. Jej chłopak zginął w obławie, a ona miała małego Tadzia, który został u babci. Babcia góralka wychowywała chłopca i pisała piękne listy, w których nie tylko informowała, że Tadzio czuje się dobrze, ale opisywała, jak się zachowuje, rozwija, wszystko. Pamiętam, jak Krysią przybiegała do nas w czasie pracy, zszywałyśmy chyba swetry dla wojska i nie było wolno zmieniać miejsca, ale ona biegła i wołała: „Pani Wandeczko, przeczytam list od mamy”. I czytała nam, że jak Tadzio coś zbroił i babcia na niego nakrzyżowała, to on powiedział: „Na Tadzia nie wolno się gniewać, bo Tadzio jest sierotką”. Niedawno była uroczystość u pana prezydenta Kaczyńskiego: odznaczenia dla kobiet-matek, zaangażowanych w pracę niepodległościową. Była też Krysią z Tadzkiem, dziś już panem Tadeuszem. I on opowiedział mi, że jak był mały, to chodził nad strumień, wrzucał do strumienia kawałeczki papieru i wyobrażał sobie, że to są listy, które dopłyną do mamy.

W 1992 r., gdy już było można, zorganizowałyśmy zjazd w Fordonie. Przyjechało też trzech panów, którzy byli więziennymi dziećmi. Stanęli na podium, przedstawili się przed całą salą. Zaczęliśmy klaskać, a oni powiedzieli: „Wy wszystkie jesteście naszymi matkami”. ◆

→ Prof. BARBARA OTWINOWSKA (ur. 1924 r.) była od 1943 r. żołnierzem AK, brała udział w powstaniu warszawskim jako łączniczka, sanitariuszka i wartownicza w Kompanii Sztabowej 100; po powstaniu została wywieziona na roboty do Niemiec. W 1945 r. wróciła do Polski, studiowała na UW. W 1947 r. zatrzymana przez UB w związku ze śledztwem rtm. Witolda Pileckiego, została skazana na 3 lata, więziona w Fordonie. Po zwolnieniu wróciła na studia. Historyk literatury staropolskiej, pracowała w Instytucie Badań Literackich PAN. Inicjator i redaktorka wielu publikacji byłych więźniarek, współautorka pracy „Zawołać po imieniu. Księga kobiet – więźniów politycznych 1944–1958”. Opracowała antologię poezji więźniów okresu stalinowskiego pt. „Przeciwko złu”. Laureatka przyznawanej przez IPN nagrody Kustosza Pamięci Narodowej.

NUMERY



w kolorze lila

TRAFIŁY TAM Z RÓŻNYCH POWODÓW, W RÓŻNYM CZASIE I WIEKU:

KOBIETY DOJRZAŁE, MATKI,
A CZASEM NASTOLETNI DZIEWCZYNY.
AUSCHWITZ, RAVENSBRÜCK, MAJDANEK.
W ICH WSPOMNIENIACH JEST COŚ, CO ODRÓŻNIA
JE OD WSPOMNIEŃ MĘŻCZYŹN:
WYCZULENIE NA CIELESNOŚĆ, KOLORY
I ZAPACHY, POTRZEBA WYRAŻANIA
UCZUĆ, NIEUSTĘPLIWOŚĆ W ZACHOWANIU
POZOSTAŁOŚCI DAWNEGO ŻYCIA.
I POSZUKIWANIE NAJDROBNIJSZYCH
OKRUCHÓW PIĘKNA.

PATRYCJA BUKALSKA

Może to dziwne, ale mało kto zajmował się dotąd specyfiką relacji kobiet-więźniarek w niemieckich kacetach. W zachowanych zbiorach dominują relacje mężczyzn, choć kobiet do obozów trafiało bardzo wiele. – Historia kobiet w obozach koncentracyjnych i obozach zagłady jest do tej pory zbadana fragmentarycznie. Kobiety i mężczyźni w obozach znaleźli się w tych samych warunkach egzystencji, jednak stopień terroru, jaki tam zapanował, odnosił się nie tylko do poszczególnych kategorii więźniarskich, również płęć determinowała sposób, w jaki był on przeżywany – mówi Elżbieta Pasternak, autorka polsko-niemieckich warsztatów „Auschwitz i Holocaust z perspektywy kobiet” oraz pedagog z Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu.

– Badaczka historii kobiet w czasach Holocaustu, Joan Ringelheim, zauważa, że z gett do obozów zagłady zostało deportowanych znacznie więcej kobiet niż mężczyzn – mówi Pasternak. – A jednak wśród osób, które przeżyły obóz, kobiety stanowiły tylko jedną trzecią.

Powodów, zdaniem Elżbiety Pasternak, jest kilka: np. fakt, że w porównaniu z mężczyznami kobiety miały mniejsze szanse przydziału do komand roboczych, a co za tym idzie, mniejsze szanse uniknięcia śmierci. Również w czasie selekcji na rampie, po przybyciu do obozu, posiadanie dziecka oznaczało często wyrok śmierci i dla niego, i dla matki. Poza tym w wielu obozach – np. w Birkenau – warunki w tzw. obozie kobiecym były najgorsze.

Dlaczego opowieści tych, które przeżyły, pozostają często nieznanne? Nie chcą mówić? Ich opowieść jest mniej ciekawa? Wolą zapomnieć? A może po prostu zbyt rzadko były – i są – o to pytane? Może w codzienności powojennego życia, wśród domowych i rodzinnych obowiązków, nie miały na to czasu?

– W Polsce obozy to dzisiaj temat niemodny – także dlatego, że mocno wyeksploatowany w PRL. Nie ma właściwie na ten temat nowych książek, innej niż wspomnieniowa literatura – mówi Piotr Filipkowski z Programu „Historia Mówiona” Ośrodka Karta, autor pracy doktorskiej „Doświadczenie obozu koncentracyjnego w perspektywie historii życia. Analiza narracji biograficznych”. – W Niemczech natomiast pojawiło

się nowe pokolenie badaczy i nowe ujęcia tematu – skupione bardziej na pamięci tego doświadczenia, na opowieści o nim, na sposobach upamiętniania. Jednocześnie nastąpiło mocne wyeksponowanie doświadczeń wcześniej marginalizowanych – wśród nich także kobiecych.

Kobiety obok

Jaka jest ta pamięć kobieca? Czym różni się od pamięci mężczyzn?

– To opowieść gęsta od szczegółów, a autorki często same chowają się na drugi plan, opowiadając o ojcach, braciach, o innych osobach – mówi Filipkowski, który przeprowadził wiele wywiadów z byłymi więźniarkami. – Dużą rolę odgrywa ją w niej też międzyludzkie relacje, emocje, sympatie.

Wspomina Genowefa, więźniarka Ravensbrück: „Ja miałam łóżko przy oknie wychodzącym na blok 10. Na tym bloku były same gruźliczki i psychicznie chore. Tym psychicznie chorym kobietom zabrali wszystko, chodziły tylko w koszulach i na plecach miały duże numery w liliowym kolorze. Były bardzo chude. Blokowa i Sztubowa wyganiały je do łazienki i tam oblewały je zimną wodą. (...) One się bały i nie chciały później wychodzić z tej łazienki. Blokowe miały takie kijki, jak nogi od stołu. Okładaly je tylko tymi kijkami i koce na nie rzucały. (...)

Leżę w tym łóżku, w nocy. Blok się trzęsie, nie wiem, co się dzieje. I zaczęły się świecić takie silne reflektory. Myślę: Boże, co się dzieje? Podjechała ciężarówka pomiędzy mój blok a blok 10. Patrzę, a oni wyprowadzają wszystkie chore, wszystkie chore psychicznie. Wyprowadzają nago, tak jak stały, a to przecież było bardzo zimno. Z drugiej strony to samo. Te, które nie mogły iść o własnych siłach, to brali za nogi i za ręce, i wrzucali. (...) Wszystkie one zostały zagazowane. Blok był pusty. Rano, podczas obchodu przyszła do mnie lekarka i zapytała, jak się czuję. Ja mówię: Pani doktor, ja wszystko w nocy widziałam, ja nie spałam całą noc. Nie chcę dłużej leżeć na tym łóżku. I wtedy ona dała mi inne łóżko”.

Wspomina Anna, również więźniarka Ravensbrück: „Potem były »króliki« [tak w Ravensbrück nazywano więźniarki poddawane eksperymentom medycznym – red.] na blokach, które głodowały, cierpiały i trzeba było je dokarmiać. Wtedy już zaczęły przychodzić paczki z domów. Nie wolno było chodzić do rewiru, ale tam udawało się nam coś dla nich przemycić. Widzieliśmy je, leżały takie biedne, jęczały rozgorączkowane, ze spieczonymi ustami, nogami obandażowanymi. Serce się krajało. Cały blok wtedy żył tymi królikami”.



Fotografia z akt personalnych Elżbiety Bednarczyk.

Zbiory archiwalne Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu

ty obce zupełnie, gdzie przepychają nas z jednego miejsca na drugie. (...) Jak się czuje 17-letnia dziewczyna, kiedy patrzą na nią mężczyźni, którzy... no w ogóle nie są mężczyznami. Człowiek sobie wmawia, że to nie są mężczyźni. Dziewczyna, która nie znała... Ja byłam jedynaczką, chowana dość tak... ciepło, przede wszystkim. (...) Człowiek czytał romantyczne powieści i zawsze uważało się, że kobieta i mężczyzna są w stosunku do siebie... z szacunkiem się odnoszą. A jak człowiek może mieć jakiś szacunek, jak stoi nago, zupełnie rozebrany. Ci mężczyźni... No wszystko jedno, ale oni taksują ciebie wzrokiem. I nie ma się czym przykryć, nie ma się gdzie schować. To jest straszne uczucie.

A te kobiety starsze, matki dzieciom, jak one się czuły? Nie mówiąc o tym, że człowiek nagi wygląda brzydko. Musi być ktoś piękny, żeby wyglądał naprawdę pięknie. A tak, człowiek nagi, kobiety nagie, wcale ładnie nie wyglądają. To wcale nie jest ładny widok. I to, czy młodsza, czy starsza, ale to nie jest... Nie mówiąc o tym, że przecież myśmy wszystkie były przerażone. Odurzone. Człowiek nawet nie zdawał sobie sprawy, że może być tak traktowany. Naprawdę oni nas nie uważali za ludzi. I to w człowieku tkwi, że coś takiego mogło cię spotkać. To tak, jak dziewczyna zostanie zgwałcona i potem nie może z mężczyzną spokojnie przeżyć miłości, bo ciągle będzie to pamiętała. Nie mówiąc o tym, że wszystkie kobiety, myśmy przecież w ogóle tam nie miały miesiączki”.



Stanisława (Ravensbrück): „Po kilku dniach zaprowadzono nas na rewir. Był tam taki plac otoczony z dwóch stron blokami, a tutaj od strony obozu był wysoki płot, zaś z czwartej strony były druty i siatka. Na tym placu polecono nam porozbierać się. I wchodziliśmy pojedynczo do bloku. Tam urzędowali ginekolodzy. Stałyśmy tak zupełnie porozbierane przez parę godzin. Między nami stali żandarmi. Obserwowali każdą od stóp do głowy, krytykowali. Byłyśmy strasznie wystraszone, zażenowane, po prostu czułyśmy się jak zbite psy, bo przecież nigdy w takich sytuacjach nie znajdowałyśmy się. Gdy któraś chciała się czymś przykryć, czymś zasłonić, to podchodzili do nas i bili swoimi pałkami czy harapami. Tak, że byłyśmy zupełnie bezbronne. Do tych gabinetów wchodziliśmy pojedynczo. Tam badano nas wewnętrznie i po tym wbijano jakieś zastrzyki”.



W relacjach nagranych przez pracowników z Ośrodka Karta pojawia się też kwestia leków czy ziół, po których więźniarki traciły miesiączkę. Niektóre nie odzyskiwały jej długo po wojnie. Pytanie, czy rzeczywiście oprawcy byli tak przewidujący, czy też naturalne funkcje organizmu były blokowane przez stres i głód?

Ale ciało było też odskocznią: czymś, co mogło być piękne. Inne więźniarki bywały piękne. Elżbieta Pasternak opowiada: – Wspólną potrzebą kobiet w obozach było upiększanie rzeczy, w celu zmazania fizycznej i duchowej brzydoty otoczenia. Zofia Stepień-Bator, więźniarka Auschwitz-Birkenau, upiększała malowane przez siebie w obozie więźniarki i tak to tłumaczyła: „Próbowałam wszystko bardziej uprzyjemnić, ponieważ wszystko było takie brzydkie, szare, brudne. W moich portretach kobiety są ładniejsze, miłsze, wszystkie mają więcej włosów – ich oczy też nie mają takiego tragicznego spojrzenia” – mówi Pasternak.

– Upiększanie portretowanych w obozie kobiet było nie tylko wyrazem potrzeby estetyzacji rzeczywistości – dodaje – ale również pomagało podnieść morale.

W potwornych warunkach wiele kobiet starało się więc za wszelką cenę zachować higienę, wyglądać schludnie. To pomagało przeżyć. Więźniarka wyglądająca źle lub chorowicie nie miała szans.

Inny świat

Każdy z więźniów i więźniarek kacetów marzył o innym świecie, o tym, który został za drutami. Krótkie chwile, gdy zdarzyło się im zobaczyć zwykłe życie, dawały siłę do przetrwania. Namiastkę zwyczajności starały się też kobiety stworzyć sobie same w obozie.

– Nieprzerwanie starały się odbudowywać porządek świata. Sprzątanie, pranie, gotowanie było próbą powrotu do tra-

dycyjnej roli domowych gospodyń. Sprzątanie baraków miało służyć utrzymaniu kontaktu z dawnym życiem. Był to rodzaj terapii, która pozwalała czuć się potrzebną i utwierdzała w przekonaniu, że ma się pod kontrolą choćby tę niewielką przestrzeń, w której trzeba żyć – tłumaczy Elżbieta Pasternak.

Opowiada też o bardziej radykalnej ucieczce z obozowej rzeczywistości: w Muzeum w Auschwitz-Birkenau znajduje się „Kalendarz Wspomnień”, składający się z 22 małych rysunków, stworzony w KL Auschwitz w roku 1944 przez Ewę Gabanyi, numer obozowy 4739. Obrazy w tym kalendarzu to fantazje, przedstawiają tańce i bale, piękne stroje i dziwne zwierzęta. Jeden tylko obraz odbiega od pozostałych i pokazuje więźniarkę ubraną w pasiak, jedzącą obozową zupę.

– Ewa Gabanyi mogła uciec od przeżyć obozowych dzięki fantazji i wyobraźni, tak jak robiły to inne artystki. Wyobraźnia dawała im możliwość uniesienia się ponad drutami kolczastymi otaczającymi obozy – mówi Pasternak.



Nie każda kobieta w obozie mogła być artystką. Ale chwile oderwania od potworności były ważne. Wspomina Urszula (Majdanek): „Niemcy co pewien czas robili rewizje na bloku. Wyglądało to w ten sposób, że wszystkie mieszkanki stały na placu, a Niemcy chodzili i wszystko kontrolowali. A więc jak ktoś sobie coś ciepłego [do ubrania – red.] przyniósł, to wszystko zabierali. W czasie takiej jednej rewizji na naszym bloku i sąsiednim (...) dwie ciężarówki rzeczy wywieźli. My byłyśmy załamane, bo co człowiek już trochę sobie nagromadził, żeby spokojnie tę zimę przeżyć, to wszystko zabrali. (...) Więc ogólne przygnębienie w barakach, no bo nic nie ma. I kiedy tak wszyscy siedzą i myślą, co tu będzie dalej, bo przecież nie wytrzymałyśmy zimy bez takiej »pomocy«, nagle zjawiała się między nami jedna z koleżanek, w takim meksykańskim kapeluszu. Gdzie ona go schowała? Nie wiem. Ale schowała go. I chodziła od bloku do bloku i mówiła: zobaczcie, jednak nie wszystko nam zabrali. Zupełnie inny nastrój nastąpił. Wszyscy powiedzieli: masz rację. My też sobie zorganizujemy. Nie minął tydzień, wszystkie miały to samo, co było”.

Potem

Po wyjściu z obozów kobiety czasem opowiadały o swoich przejściach, czasem milczały. Zwykle niosły ciężar nadszarpniętego zdrowia i złych snów.

Te, które w obozach były długo, organizowały się w stowarzyszenia i środowiska, wspierając się nawzajem. Te, które do obozów trafiły w czasie Powstania Warszawskiego i wysiedlenia ludności miasta przez Niemców, zwykle nie potrafiły odnaleźć się ani w obozie, ani po wojnie. – Ich trauma jest większa, bo obóz był dla nich większym szokiem. Również dlatego, że obozy w 1944 r. były inne niż wcześniej. Te kobiety były całkowicie zagubione – mówi Piotr Filipkowski. Wiele lat po wojnie pozostają więc często poza zorganizowanymi grupami dawnych więźniarek.

Jednak czy opowiadają o obozach, czy też nie – wszystkie pamiętają. Numery w kolorze lila, kolor podłogi w bunkrze, mgłę jesienią, zgnili smak brukwi, kolor oczu mijanego kiedyś więźnia.

Zadają też sobie pytania. Jak Genowefa, więźniarka Auschwitz: „Sortierungów [selekcji] przeszłam setki. I dlaczego ocalałam, proszę mi powiedzieć, dlaczego ocalałam? Opatrzność boska była tylko. Bo przecież ani uroda... Bo były piękne, np. Włoszki i inne narodowości, Greczynki. Przecież masę narodowości było... Przystojne. Wszystko poszło do gazu. Tysiące poszło do gazu, a ja ocalałam. Koleżanki od lat nie żyją. Tu-taj zginęły, w Oświęcimiu, na wolności. A ja żyję. Dlaczego ja żyję? Takie sobie nieraz zadaję pytanie. Nie wiem”. ♦

Cytowane relacje kobiet, byłych więźniarek obozów koncentracyjnych, pochodzą ze zbiorów Archiwum Historii Mówionej Ośrodka Karta i Domu Spotkań z Historią w Warszawie.

→ PATRYCJA BUKALSKA jest dziennikarką „Tygodnika Powszechnego”, była współpracowniczką Muzeum Powstania Warszawskiego, współpracuje z Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie. Wkrótce w wydawnictwie Znak ukaże się jej książka „Rysiek z Kedywu. Niezwykłe losy Stanisława Aronsona”: opowieść o polskim Żydzie i oficerze AK, który przeżył getto i walczył w Powstaniu Warszawskim, a po ucieczce przed NKWD na Zachód trafił najpierw do armii Andersa, a potem do Izraela, gdzie jako oficer armii izraelskiej walczył w kolejnych wojnach w obronie tego kraju.

„Potem ścięto mi włosy. Kwarantanna, w takich aresztanckich celach. Siedziała ze mną starsza pani, też z obciętymi włosami. Patrzyłam na tę panią, ona patrzyła na mnie. Kobieta brzydko wygląda bez włosów.”

Ciało

Ciało – to biologia, higiena, strach.

Łażnia – pierwsze zetknięcie z obozem, upokorzenie własną nagością – pojawia się niemal we wszystkich relacjach. To coś, co kobietom wryło się w pamięć i pod skórę. Bezbronność, wstyd, ścinane włosy, poczucie własnej brzydoty.

– To był dla kobiet szczególny rytuał przejścia – pogwałcenie tożsamości, radykalny zamach na poczucie godności, na odczuwanie własnego ciała. Mężczyźni inaczej o tym momencie opowiadają – też zapadł im w pamięć, ale nie naruszył aż tak głęboko – mówi Filipkowski.



Anna (Ravensbrück): „Te, co miały długie włosy, silne, dobrze utrzymane, to oni je wykorzystywali do przemysłowych celów. Innym maszynką na zero obcinali i rzucali na stos. Najpierw była kąpiel pod prysznicem, wszystkie kobiety nago. Ale za nim zaczęła padać woda, to zaszczyciła nas rozmową komentantka Langeweld. Stała z rulonem, patrzyła na nas. Ja miałam długie włosy, rozpuściłam je, bo myślałam, że będę myć głowę. Okryłam się nimi jak Ewa. Rozmawiałam z nią, a ona rozgarnęła moje włosy, popatrzyła i zapisała coś sobie. Potem ścięto mi włosy. Kwarantanna w takich aresztanckich celach. Wtedy siedziała ze mną starsza pani, też z obciętymi włosami. Patrzyłam na tę panią, ona patrzyła na mnie. Kobieta brzydko wyglądała bez włosów”.



Wspomina Urszula (Majdanek): „Rozdzielili nas, osobno mężczyzn, osobno kobiety. Nas, jako kobiety, wzięto do łaźni. Wyglądało to w ten sposób, że musiałyśmy się całkiem rozbrać i nago przejść do łaźni. To było coś straszego, bo człowiek zawsze chroni tą swoją nagość. A tutaj mężczyźni i kobie-

ARMIA KOBIEC

NIEKTÓRZY MĘCZYŹNI
NAZYWALI JE IRONICZNIE
„CIOTKAMI REWOLUCJI”.

GLUPIO, BO KOBIEC, KTÓRE W LATACH
70. I 80. DECYDOWAŁY SIĘ NA
DZIAŁALNOŚĆ W OPOZYCJI, WYKONYWAŁY
PODOBNE ROLE CO MĘCZYŹNI I PŁACIŁY
PODOBNA – A CZASEM WYŻSZĄ – CENĘ.

EWA ROGALEWSKA

Po 1970, a szczególnie 1976 r. opozycja przyjęła w Polsce nowe oblicze. Nowe role przypadły też skupionym w niej kobietom. Pochodziły z różnych grup społecznych i podejmowały różne formy protestu: od uczestnictwa w strajkach, przez sygnowanie listów protestacyjnych, głodówki, obronę więźniów i pomoc ich rodzinom (to m.in. Małgorzata Łukasiewicz, Gaja Kuroń, Ludwika Wujec), po redakcje, druk i kolportaż gazet opozycyjnych. Wstępowały w szeregi różnych organizacji: KOR (m.in. Aniela Steinsbergowa i Halina Mikołajska, Ewa Sułkowska-Bierezin, Anka Kowalska), później KSS-KOR (z działalnością Biura Interwencyjnego, prowadzonego przez Zofię i Zbigniewa Romaszewskich), ROPCiO (m.in. Romana Kahl-Stachniwicz, Emilia Afenda-Dadał), KPN (Teresa Baranowska, Maria Moczulska, Barbara Różycka), SKS (m.in. Anna Szwed, Liliana Batko), RMP (np. Małgorzata Bartyzel), WZZ (Joanna Duda-Gwiżdża, Anna Walentynowicz, Alina Pieńkowska). A jeśli decydowały się wejść w opozycję, zajmowały się wszystkim – jak mężczyźni.

Wdowy i matki

Wśród kobiet w PRL istniała grupa „obywatek drugiej kategorii”. Bo choć żołnierze i żołnierki podziemia niepodległościowego zostali zrehabilitowani po 1956 r., to niemożność jakichkolwiek działań w sferze publicznej dotykała wiele z nich. Szczególnie – grupę „katechetycznych wdów” i ich rodzin. Ale nie tylko: także wdowy i córki ofiar tzw. obławy augustowskiej z lipca 1945 r. Była to największa w powojennej historii akcja eksterminacyjna, dokonana siłami wojsk sowieckich przy udziale rodzimego aparatu represji; w jej wyniku zaginęło prawie 600 osób, wywiezionych w nieznanym kierunku z Augustowszczyzny i Suwalszczyzny.

„Wdowy augustowskie” latami domagały się wyjaśnienia losów ich bliskich. Przez lata żyły w niewiedzy, a także nędzy. Dzięki uporowi, ich głosy przedyrzały się do świadomości społecznej,

kiedy w lipcu 1987 r. powstał w Suwałkach Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 r. W jego pracach, polegających m.in. na dokumentowaniu losów zaginionych, szczególnie zasłużyła się dziennikarka Alicja Maciejowska, aktorka Maria Chwałibóg i Krystyna Świerzbinska (jej ojciec „zaginął” w 1945 r.).

Były też inne grupy wdów: „grudniowe wdowy” z Wybrzeża; nie mogły oficjalnie pogrzebać bliskich; czyniły to w niechcianym towarzystwie ubeków. A także kobiety, które straciły bliskich w stanie wojennym (około stu ofiar, o których mówi tzw. raport Rokity). Wśród nich matki Grzegorza Przemyska, Marcina Antonowicza, Piotra Majchrzaka; a także zamordowanych księży, jak Marianna Popieluszko czy Irena Zych.

Kluby i salony

Opozycjonistką, której działalność sięgała jeszcze czasów przedwojennych, była mecenas Aniela Steinsbergowa (1896–1988): przed wojną obrońca w procesach działaczy komunistycznych, a w 1955 r. obrońca (z Henrykiem Winawerem) Kazimierza Moczarskiego i innych akowców. Potem współzałożycielka Klubu Krzywego Koła, KSS KOR, Towarzystwa Kursów Naukowych – i autorytet moralny. Jej dom i inne salony warszawskie (np. prof. Edwarda Lipińskiego, miejsce spotkań KOR, czy bliższy klasycyzmu salon prof. Marii Renaty i Józefa Mayenów z IBL PAN) były miejscem debat politycznych i intelektualnych.

Formy prywatnych salonów przeobraziły się w końcu lat 70. za przyczyną upowszechnienia idei Klubów Swobodnej Dyskusji, powołanych przez uczestników ROPCiO, „latających uniwersytetów” i Towarzystwa Kursów Naukowych, często pacyfikowanych przez MO i SB (czego elementem były także pobicia; np. napad na dom Gai i Jacka Kuroniów).

Takie wykłady i dyskusje odbywały się we wszystkich większych miastach – m.in. we Wrocławiu w willi Heleny i Ryszarda Trąbskich, w Poznaniu w mieszkaniu Ewy Wójciak (związanej z Teatrem Ósmego Dnia i SKS-em) czy Anki i Rafała Grupińskich; w Krakowie u państwa Turowiczów. Właścicielki tych PRL-owskich „salonów” musiały często spełniać też szereg prozaicznych czynności w czasach kryzysu. Ninel Kameron-Kos wspomina, że jednym z nakazów gościnności w domu na warszawskiej Pradze w latach 80. było nakarmienie gości. Częstym daniem stawały się więc różne placaki i zupy. Towarzystwo dyskusjom w dymie papierosów, bo palili prawie wszyscy.

Pod ochroną Kościoła

Wybór kard. Wojtyły na papieża i jego pielgrzymka do kraju w 1979 r. ożywiła różne formy działalności społecznej pod egidą Kościoła. Do istniejących (np. KIK-i) dołączyły rozwijające się burzliwie duszpasterstwa akademickie i branżowe. Później, w stanie wojennym, symbolem pomocy stały się anonimowe siostry z Komitetu Prymasowskiego przy kościele św. Marcina przy Piwnej w Warszawie, wraz ze świeckimi (jak

Maja Komorowska) rozwijające po Polsce paczki dla internowanych. Jedną z aresztowanych wspominała: „31 stycznia 1982, niedziela. Jeszcze przed śniadaniem wpada Basia, że przyjechał ksiądz Hass z Mają Komorowską. Pomachała im. Przywieźli całą »nysę« paczek. (...) Przez okno patrzyliśmy na wyładunek paczek. Wspaniały widok. Ksiądz podawał z samochodu, odbierała Maja w dużym kapeluszu, z rozwianym włosami i w szerokim płaszczu. Wśród syjącego śniegu, na wietrze sama dźwigała worki z kapciami, ubraniami, papierosami, kosmetykami” (A. Maciejowska, „Dziennik internowanej”).

W Kościele znaleźli wtedy przystań aktorzy, twórcy kultury, którzy przystąpili do bojkotu reżimowych instytucji. „W podziemi” – w kościołach, domach parafialnych, a także prywatnych mieszkaniach – występowały Irena Jun, Maja Komorowska, Halina Mikołajska, Anna Nehrebecka i inne aktorki.

Gołdap – „złota klatka”

Rolę kobiet na swój sposób doceniły władze PRL: zakładając dla nich w stanie wojennym specjalne „ośrodki odosobnienia”. Jeden z nich istniał w Gołdapi, od stycznia do lipca 1982 r. – przetrzymywano tam 392 internowane. Kobiety więzione też m.in. w Darłównu i Fordonie. Według stowarzyszenia Internowani.pl łącznie internowano ok. 750 kobiet.

Do Gołdapi pierwszy transport trafił 6 stycznia 1982 r. Działaczki Solidarności i organizacji opozycyjnych zapamiętały najpierw długą podróż, często nieogrzewanymi „sukami” milicyjnymi. Towarzyszył im strach, że mogą trafić do ZSRR. Oddychały z ulgą, gdy stwierdzały, że są w środku ośnieżonego lasu, otoczone kordonem wojska, ale w Polsce. Po więziennych warunkach – gdzie przebywały od 13 grudnia – zaskoczeniem były pokoje o ówczesnym standardzie hotelowym (łazienki, stołówka, kawiarnia dawnego ośrodka wczasowego). Obowiązywał jednak zakaz opuszczania budynku; spacerowały się tylko na tarasach ośrodka.

Dobre warunki miały cel propagandowy: Gołdap odwiedzała telewizja, przywózono delegacje Czerwonego Krzyża i zagraniczne media. W rzeczywistości internowane podlegały regulaminowi więziennemu, były poddawane presji przez SB, która chciała wymusić na nich oświadczenie o tzw. lojalności lub zgodę na współpracę.

Odcięte od świata, zorganizowały swoje życie „obozowe” – tak by miało pozory normalności. Założyły potajemnie własną służbę zdrowia (m.in. Maria Dmochowska, Halina Saruł, Grażyna Przybylska-Wendt, Elżbieta Seferowicz, Alina Pieńkowska), organizowały zajęcia artystyczne (spektakle Haliny Mikołajskiej), oświatowe (Halina Suwała) i ćwiczenia fizyczne. Ukryte radio pozwalało prowadzić nasłuch Wolnej Europy. Miały też opiekę duszpasterską, zorganizowaną przez bp. Jana Oblęka, który wymógł na władzach pozwolenie na Msze. Odprawiano je co niedziela na stole bilardowym. Kapelan z towarzyszącymi mu wi-

karymi nie tylko przywoził paczki, ale przemycił grypsy.

Internowane kolportowały codzienny „Informator” (przepisywany ręcznie przez kalkę w kilku egzemplarzach); później powstały tygodniki społeczno-kulturalne: „Druzy”, „Internowanka”, „Refleksje” i „W drodze”; przed Wielkanocą ukazywał się „Wielki Post”. Organizowano kursy samokształceniowe, kwitła twórczość rękodzielnicza (koszule, swetry, a na nich znaczki Solidarności czy napis „I love Reagan”), powstawała „biżuteria patriotyczna”, a także piosenki i wiersze, które komentowały wydarzenia w ośrodku.

3 maja, gdy w wielu miastach doszło do demonstracji, okna i balkony w Gołdapi wyklejono flagami i napisami. Gdy kobiety odmówiły ich usunięcia, interweniowali funkcjonariusze SB i MO; doszło do fizycznego starcia – i funkcjonariusze odstąpili.

Romantyczny topos

24 lipca 1982 r. ostatnie 24 internowane opuściły ośrodek. W kolejnych latach wiele z kobiet internowanych w Gołdapi miało ponownie trafić do więzień. Były ważnym elementem „konspiracyjnym”, aż do 1989 r. Nie tylko wtedy, gdy spełniały podobną rolę, co mężczyźni – ale również „zabezpieczając” sprawy prozaiczne, związane z codziennością. A cena, jaką płaciły, była podobna do płaconej przez mężczyzn. Czasem nawet wyższa: osobny temat to historie rozłączonych matek i dzieci.

Obraz opozycjonistek lat 70. i 80. można wpisać w romantyczny topos Matki Polki, poświęcającej dla sprawy życie prywatne, dobra materialne, karierę, wolność. Można też powiedzieć, że pozostawały w cieniu mężczyźni – choć brały udział w najróżniejszych formach działalności. Większość zaangażowana była jako „zaplecze frontu”: w pomoc charytatywną, organizowanie siatek informacyjnych, przekazywanie wiadomości. Intelektualistki, bywalczynie salonów, czasem nazywane ironicznie – i niesprawiedliwie – „ciotkami rewolucji”, znane i bezimienne.

Mecenas Steinsbergowa, suwnicowa Walentynowicz, dziennikarki Jankowska i Maciejowska, żona przywódcy Solidarności Danuta Wałęsowa, aktorki Mikołajska i Komorowska, pielęgniarki Alina Pieńkowska i Halina Steckiewicz, reżyserka Izabella Cywińska, rolniczka Stanisława Sobieraj, matka i córka Zofia i Agnieszka Romaszewskie, zakonnica Joanna Lossow, Marianna Popieluszko, wreszcie Joanna Szczepkowska, która z uśmiechem powiedziała w telewizji, że 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm... Kobiety, które w różnych momentach wystąpiły przeciw złu.

Wiele nie doczekało wolności – Gaja Kuroń, Barbara Sadowska, Aniela Steinsbergowa. Armia kobiet, zlewająca się z łączniczkami podziemnych oddziałów, sybiraczek i więźniarek, rewolucjonistek 1905 r., żon powstańców z XIX w. Korowód odchodzący. ♦

→ EWA ROGALEWSKA jest historykiem, pracownikiem białostockiego oddziału IPN. Redaktorka książki o kobietach internowanych w obozie w Gołdapi podczas stanu wojennego.



Były wśród 392 kobiet w Gołdapi: Krystyna Lach...



...i Janina Kawalec

KIEDYŚ *chyba będzie lepiej?*



SLAWEK BIEGAŃSKI / FORUM

W 1986 r. zgubiłam kartki na mięso. Od tego momentu stałam się osobą niepełnowartościową, zrem społecznym, pozbawionym glejtu do świata sytych. Te trzy kolorowe karteczki nosiłam przy sobie niczym talizman, wtulone w dowód osobisty i prawo jazdy, tkwiły w mniejszej kieszonce portfela w towarzystwie 5 tys. zł uciulanych z nauczycielskiej pensji na zakup bucików. Zakup, który miał zrekompensować codzienną szarżę awansując mnie do roli księżniczki na pierwszym balu” – wspominała PRL Helena, warszawska nauczycielka. Ale nie spełniła się marzenia: nie kupi butów, ktoś ukradnie jej portfel i choć zwróci, to bez pieniędzy i kartek. Czekają więc kilka godzin w kolejce w „mięsnym bezkartkowym”; jest sobota i rzucili podroby. Będzie stać, zaplątana w ludzkie kłębowisko, obserwując, jak życie towarzyskie nabiera rumieńców. „Stoję i medytuję: czy dojdzie do mnie wątroba czy kawałek słoniny. Na nóżki nie mam szans”. Kiedy wreszcie dojdzie do lady, życie nabierze rumieńców: uda jej się kupić „płucki i tuszki wychudzonych kurczaków koloru lila róż”.

Mieszkanie za legitymację
 Praca na dwóch etatach, żłobek dla dziecka i mieszkanie kątem u teściów – to standard. Nawet jeśli kobieta chciała zostać w domu i opiekować się maluchem, musiała jak najszybciej wracać do pracy, bo pensja męża nie starczała na przeżycie. Bywało, że wpadała w panikę, kiedy okazywało się, że jest w drugiej ciąży. „Gdyby nie wpajane komunistyczne zasady moralne, nie zastanawiałabym się nad usunięciem ciąży. (sic!) Gdy lekarz zapytał wprost: »To, co, usuwamy?« – byłam bardzo zaskoczona. Przecież lekarz powinien mnie do tego zniechęcać” – tak Grażyna z Gdańska wspomina przeżycia z gabinetu lekarskiego z lat 60.

Z dwójką dzieci trudno było się utrzymać nawet z dwóch pensji. „Ale chyba będzie kiedyś lepiej?” – zastanawiała się Leokadia. Lepiej z reguły zaczynało być, gdy miało się swoje mieszkanie. I był jeden skuteczny sposób na otrzymanie M-4: zapisanie się do partii komunistycznej. Wiele kobiet korzystało z tej okazji, myśląc pragmatycznie o zaletach takiego „układu” z władzą. Co z tego, że musiały uczestniczyć w zajęciach Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu, skoro następnego dnia zawieszały firanki we własnych oknach?

Tak zrobiła 25-letnia Leokadia, która w 1964 r. zamieniła nieszczęśliwy los z mężem na życie samotne i ciężkie, ale własne. „Wzięłam walizkę, syna i rozpoczęłam na nowo. Pracowałam w szkole podstawowej, nie miałam mieszkania, ale ludzie mi pomagali. Chodziłam w każdej wolnej chwili i pytałam, czy coś się dla mnie nie znajdzie, ale wszędzie mnie odsyłano. Wtedy mnie olśniło! Partia – to moja ostatnia deska ratunku” – wspomina Leokadia. Zapisła się do PZPR z pobudek czysto materialnych, dostała mieszkanie, „ciasne, ale własne”. „Miałam dwoiste życie, nigdy nie ukrywa-

ZWYKLE NIE INTERESOWAŁA SIĘ POCZYNIAMI WŁADZY.

POLITYKA WKRACZAŁA W JEJ ŻYCIE, GDY GUBIŁA KARTKI NA MIĘSO ALBO MILICJA POBIŁA JEJ PRZYJACIÓLKĘ. NA CO DZIEŃ BYŁA ZAJĘTA PRACĄ. „STARAM SIĘ WYWIĄZAĆ Z OBOWIĄZKÓW” – MÓWIŁA, OBOJĘTNE CZY BYŁA NAUCZYCIELKĄ, CZY URZĘDNICZKĄ.

KRYSTYNA ROMANOWSKA

łam moich praktyk religijnych, a towarzysze nigdy mnie z tego nie rozliczali” – podsumowuje.

Staram się, jak mogę

Współczesne *yuppies* w spółdzielcach i kobiety z PRL-u łączy postawa: „Staram się wywiązywać z obowiązków jak najlepiej, by nie dawać powodów do niezadowolenia”. Taka filozofia życiowa skończyła się u Teresy, dziennikarki, a potem korektorki (zdegradowano ją ze względu na pochodzenie i brak legitymacji PZPR), depresją oraz zapaleniem spojówek i tęczęwkę, i w efekcie niedowidzeniem. Gdy zachorowała, a nie miała ubezpieczenia, jej

mama poświęciła na koszty leczenia płatynową broszkę. Trudno, by było inaczej, skoro w ciągu dnia chodziła na uniwersytet, a wieczorem pracowała. „Patrzyłam z zazdrością na wielodzietne koleżanki, które zamiast o 20, przychodziły do pracy na 22, po położeniu dzieci do łóżek” – wspominała nieżyjąca już Teresa.

W jej życiu polityka odgrywała sporą rolę; była dziennikarką – jedyną w męskiej redakcji Tygodnika Kolejarza „Sygnały”. W pracy musiała uczyć się, jak namierzać „partyjne wtyki” wśród kolegów, którzy, wzdychając, rzucali w jej kierunku: „Ach, jakbym chciał, żeby wybuchła wojna...”. Odpowiadała z uśmiechem: „Ja też bym chciała, żeby rozgorzała i rozpalila się wojna, największa wojna o trwały pokój!”. To zamykało usta. Teresa wygłaszała referaty o gen. Świerczewskim i Komunie Paryskiej, a podczas pochodu niosła podobiznę „Krwawego Feliksa”. „Nie pozostało mi nic innego, jak zacisnąć zęby i milczeć” – zapisała w pamiętniku.

Ale przeciętne kobiety – nawet żyjące, zdawałoby się, w centrum polityki – niezbyt się nią zajmowały. „Nie wyszłam na ulicę, nie wiedziałam, co się dzieje w śródmieściu. Nie miałam własnego zdania o wydarzeniach z 1968 r., nie wiedziałam dokładnie, o co walczą studenci. Dopiero gdy przyjaciółka została zbita milicyjną pałką – doszłam do wniosku, że coś z tą władzą nie jest w porządku. Ale moje życie wypełniało dziecko, praca, dom. Zasympiałam przy telewizorze ze zmęczeniem” – wspomina Grażyna z Gdańska.

To moje życie

Mimo że w komunizmie nikt nie wiedział o istnieniu poradników psychologicznych, wiele kobiet wybierało, jakby się to dziś fachowo określiło, „własną ścieżkę rozwoju”. Nie zważając na przepracowanie, brak perspektyw i pieniędzy, dążyły do samorealizacji. Czekwały w swym życiu na iluminację i gdy się zdarzała, wiedziały, że muszą iść za głosem serca.

Tak było z Leokadią (tą, która porzuciła męża i zapisała się do partii). Po skończeniu studium nauczycielskiego o profilu taneczno-wokalnym odkryła pa-

Wolna sobota, kolejka po chleb.
 Warszawa, 1976 r.

sję: dziecięcy zespół pieśni i tańca, który przez 25 lat prowadziła. „Zapomniałam, że się starzeję, żyłam moją pracą z dnia na dzień. Moją nagrodą były koncerty i mali artyści” – wspomina. Teraz, na emeryturze, tęskni za ukochanym zespołem. Piśze: „Prawda obiektywna to miłość do ludzi, sztuki, do pracy, dobrze spełnianego obowiązku. Często, kiedy oglądam telewizję, ogarnia mnie oburzenie, a jej każde spóźnienie było wpisywane w akta personalne. „Ach, więc to już tak do śmierci ma wyglądać moje życie? Praca, akademie, akcje społeczne? Nie mogę zaprzepaścić nadziei i zastępnąć w tym nieciekawym kształcie!” – mówi sobie. Zmienia kierunek studiów, co pozwala jej rozwinąć skrzydła. Przynajmniej mentalne.

Dziennikarka Teresa przeżyła swoją iluminację, gdy zmagala się z awitaminową i reumatyzmem, a jej każde spóźnienie było wpisywane w akta personalne. „Ach, więc to już tak do śmierci ma wyglądać moje życie? Praca, akademie, akcje społeczne? Nie mogę zaprzepaścić nadziei i zastępnąć w tym nieciekawym kształcie!” – mówi sobie. Zmienia kierunek studiów, co pozwala jej rozwinąć skrzydła. Przynajmniej mentalne.

◆◆◆
 Ale są też kobiety, które – choć zaplątane w codzienność – mają świadomość, że dopiero ich dzieci będą żyć tak, jak chcą. Helena (okradziona z kartek) widzi to, gdy jej córka pod koniec lat 80. jedzie z mężem do RFN. Wie, że nie wróci. „Właściwie młodzi ludzie mają rację. Oni są bliżej zycia niż my, socjalistyczni idealisci, spreparowani na kolektywny użytek w identyczny mundurek zachowań. Pokolenie naszych dzieci jest pragmatyczne i bezkompromisowe” – myśli Helena.

I czeka na list od córki. Kiedy przychodzi przesyłka z Hamburga, w środku nie ma ani jednej marki. Zatrzaszczył się o to zapobiegliwy listonosz. ◆

Korzystałam z materiałów przesłanych na konkurs „Moje życie w PRL” Ośrodka Karta.

→ KRYSTYNA ROMANOWSKA jest dziennikarką miesięcznika „Elle”, gdzie odpowiada za dział Psychologia; publikowała także w „Rzeczpospolitej” i „Newsweeku”.

„Właściwie młodzi ludzie mają rację: oni są bliżej zycia niż my, socjalistyczni idealisci, spreparowani na kolektywny użytek w identyczny mundurek zachowań. Pokolenie naszych dzieci jest pragmatyczne i bezkompromisowe.”

BABA na barykadzie

Choć rzecz dotyczy Kobiety, zacznijmy od Mężczyzny. Jest słynnym poetą, nieskorym do zachwytów. A jednak Kobiecie poświęca całą książkę, w której niepomny wymaganego przez historycznoliteracki dyskurs dystansu, deklaruje: „Jestem w niej (niemal) zakochany”. Wcześniej przekłada jej wiersze na angielski i poświęca sporą część wykładu na Uniwersytecie Harvarda. Poświęca jej też wiersz. Oto fragment:

*Kiedy zobaczyłem ciebie raz ostatni,
Zrozumiałem dlaczego ciebie nie lubili,
Ani twojej poezji. Z tą twoją białą
grzywą
Tylko jeździć na miotle, mieć diabła
za kochankę,
A ty jeszcze obnosiłaś się
Z filozofią wielkiego palca u nogi,
Żeńskiej szpary, pulsu, grubego
jelita. (...)
I ciało jest najbardziej tajemnicze,
Ponieważ jest śmiertelne, chce być
czyste,
Uwolnione od duszy, która krzyczy
„Ja!”
Metafizyczna poetka
Anna Świrszczyńska
Najlepiej czuła się stojąc na głowie.*

Charakterystyka Czesława Miłosza (on jest Mężczyzną), złożona z mikrocytatów, pokazuje najważniejsze motywy twórczości Anny Świrszczyńskiej (ona jest Kobietą). Z takimi kwestiami, jak dualizm ciała i ducha, erotyzm i śmiało manifestowana kobiecość, które sprawiają, że późne jej książki staną się gratką dla feministek i badaczy *gender*. Przekorna pointa wiersza odsyła nie tylko do jej zamilowania do ćwiczeń fizycznych, ale i jej życia, które często „stawalo na głowie”.

Isć, gdzie wiersze poniosą

„Jestem nieważna / Nie zapominam o tym nigdy. (...) / To podobno dlatego, że w dzieciństwie miałam zawsze podarte buty. / Dzięki tym butom powitam bez zaskoczenia / w pewnej nieważnej chwili / nieważny fakt oficjalnego przejścia / do stanu zbiorowej nieważności”.

Skupmy się na butach: symbolu sytuacji, w jakiej znalazła się po upadku Powstania Warszawskiego. Opisze ją w liście do Iwaszkiewicza (nieznanego jej osobiście): „Znajduję się ostatnio w kiepskiej sytuacji, jak pies, którego wrzucili do wody i który próbuje się z niej wygramolić. Przywykłam swoje tarapaty życiowe traktować z humorem. Z humorem też lażę od domu do domu i sprzedaję mydło, ale nie mam całych butów i nie wiem, kiedy na nie zarobię. Czy nie wie Pan przypadkiem, gdzie i u kogo na tym Bożym Świecie mogłabym dostać trochę forsy?”

To również buty – przemoczone, z dziurami zatkanymi papierem, ślubne pantofle z jedwabiu, w których zimą czeka po chleb – będą ważnym szczegółem poetyckich portretów matki. A także znakiem wyczuwania na detal i codzienność jako literackie tworzywo. A także symbolem życia, w któ-

MÓWIĄC NAUKOWO, BĘDZIE TO OPowieść

O KOBIECYM DOŚWIADCZENIU WOJNY I KOMUNIZMU, PRZETWORZONYM W POEZJĘ. A MNIEJ NAUKOWO: WYKŁAD O FILOZOFII PALCA U NOGI.

GRZEGORZ OLSZAŃSKI



Imię: Anna. Nazwisko: Świrszczyńska. Pseudonim: Świr. Data urodzenia: 7 lutego 1909 r. Miejsce urodzenia: Warszawa.

rym od stałości i bezpieczeństwa ważniejsza jest otwartość na zmianę. Wreszcie, dziurawe buty są gwarantem, że gdy będzie pisać w imieniu „sióstr z dna” skrzywdzonych przez los, jej głos będzie wiarygodny.

Po kolei jednak.

Cierpienie to ołówek, którym piszę

Imię: Anna. Nazwisko: Świrszczyńska. Pseudonim: Świr. Data urodzenia: 7 lutego 1909. Miejsce urodzenia: Warszawa. Ojciec: artysta malarz. O matce napisze: „Kiedy szła ulicą Farną / w miasteczku Ostrołęce / stare Żydówki / cmokały z zachwytu. / – Idzie anioł. (...) Piękny pan Raczyński / chciał się żenić. Zerwała / zaręczyny. Rozpaczal. / – Pan Bóg cię za mnie skarże. / I Pan Bóg ją skaral. / Wysza za szaleńca”.

Stan cywilny: według dzisiejszych standardów, singielka (w liście do poety Wacława Iwaniuka napisze: „Jak dobrze być osobą wolnego stanu, prawda? (...) A ja jestem rozwódka, wolna jak ptak, z kawalkiem rodziny, to jest z córką studentką. Ze swoim byłym mężem żyję w zgodzie. Miałam po rozwodzie drugiego nielegalnego męża, który, niestety, zmarł. (...) Teraz uczę się żyć

chwilą i cieszyć podwójnym szczęściem: że jest ktoś przy mnie i że mogę od tego kogoś odejść, gdy zechcę. Taka wewnętrzna samodzielność to dobra rzecz”).

Miejsce zamieszkania: Kraków (w 1944 r., gdy się tam pojawia, panuje bieda i ona nie ma nawet na czym pisać; z opresji wyratuje ją Jerzy Turowicz).

Wykształcenie: wyższe (marzy o ASP, brak środków skazuje ją na filologię polską; tam zakochuje się w dawnej polszczyźnie). Zawody wykonywane: poetka, korepetytorka, redaktorka (m.in. „Mały Płomyczek”), salowa, ekspedientka, robotnica w fabryce, kelnerka, kierownik literacki teatru, dramatisarcka, autorka książek dla dzieci...

Debiut prasowy: pismo „Bluszcz” (1930). Książki poetyckie: „Wiersze i proza” (1936), „Liryki zebrane” (1958; kto po świetnie przyjętym debiucie każe czekać na kolejną książkę, bagatela, 22 lata?), „Czarne słowa” (1967), „Wiatr” (1970), „Jestem baba” (1972), „Budowałam barykadę” (1974), „Szczęśliwa jak psi ogon” (1978), „Cierpienie i radość” (1985).

Cechy: odwaga, niezależność, naiwność (zdaniem jednych), empatia (zdaniem innych). Dobre rady cioci Ani (tak określi się w jednym z wywiadów): kawę zastąpić kefirem, myć się w zimnej wodzie, nawet zimą spać przy otwartym oknie, uprawiać biegi. Credo życiowe: „Nie powinno się pisać dla elity”. „Być gardłem tych, którzy sami nie umieją mówić, których głos zbyt rzadko słychać w gwarze świata”. „Moje cierpienie / jest dla mnie pożyteczne. / Daje mi prawo pisać / o cierpieniu innych. / Moje cierpienie to ołówek, / którym piszę”.

Izba porodowa

Swą pierwszą książkę porównywała do widowiska kostiumowego. Fakt: to kunsztowne stylizacje, fascynacja literaturą i malarstwem. Dla młodej Anny Świr sztuka to przeciwieństwo rzeczywistości. Czytając jej wyznanie, że w dzieciństwie grafiki Düerra zastępowały jej gimnazjalny mundur, obrazy Renoira biurko, a dzieła El Greco mieszkanie, jakie miały szkolne koleżanki, nie można mieć wątpliwości co do roli, jaką dla niej odgrywała wtedy sztuka: schronienia przed niezapląconym komornym, bezradnością matki stojącej w kolejce do darmowej garkuchni i niefrasobliwością ojca zainteresowanego tylko swymi obrazami.

Jeśli jej debiut miał odpowiednik w teatralnym widowisku, to późniejsze książki zestawiała z izbą porodową i salą szpitalną. Zmienił się język, bohater i tematy. Nie mogło być inaczej, skoro te nowe wiersze pisze już ktoś inny. Wojna zrobiła z niej innego człowieka.

Wojna i miejsce, gdzie przyszło jej potem żyć: komunistyczna Polska. I choć nie angażuje się bezpośrednio w politykę, to w sprawy społeczne już tak. „Pracownikom branży tak podejrzanie niekonkretnej jak poezja – pisała – zawsze grozi zamknięcie w świecie bezcielesnych cieni i luster”. Zamiast więc zamykać się na świat – zaproponuje – zamykajmy... bary z alkoholem i w ich miejscu otwierajmy bary mleczne. Zamiast zajmować się

„piekłem rzeczowników” – apeluje – zajmijmy się stworzeniem „Ośrodków opieki nad rodziną” dla kobiet, którym mężowie-alkoholicy czynią z życia piekło.

Te inicjatywy Świrszczyńskiej, o których pisała w tekstach i listach otwartych (m.in. do Edwarda Gierka), a także jej przekonanie, że od ludzi zajmujących się literaturą należy wymagać nie tylko dobrych książek, ale też dobrego życia, budziły ironiczne komentarze. Ale pokazują charakter kogoś, komu nie starcza „posada” literatki.

Baba na barykadzie

Na tym nie koniec. Skoro, jak powiada we wstępie do jednej ze swych książek, „historia żądała od pisarzy stworzenia nowego języka, języka na miarę treści”, to nie pozostało jej nic innego, jak spróbować go stworzyć. W ten sposób zestawiając jej wcześnie utwory z powojennymi można odnieść wrażenie, że pędzel zastąpiła aparatem fotograficznym, a dawna esteta nagle stała się dokumentalistką.

Jej dwie najgłośniejsze książki – „Jestem baba” (1972) i „Budowałam barykadę” (1974) – łączy ograniczenie komentarzy na rzecz suchego opisu, język prosty, zrozumiały. Także dlatego recenzenci, piszący o tomie wierszy dotyczących Powstania Warszawskiego, doszukiwali się analogii między jej stylem a lapidarnością meldunków. A utwory ze zbioru „Jestem baba” częściej niż wierszami były określane mianem „scen” czy „fotografii”.

Co więcej, Świrszczyńska jedną ze swych zasad uczyniła także naruszenie społecznych tabu. Tu wypada szukać genezy jej wierszy o przemocy wobec kobiet, odważnych erotyków czy obrazów rodziny, kłócących się z sielankową wizją. Tu należy też szukać specyfiki jej spojrzenia na Powstanie: niezwykłość tomu „Budowałam barykadę” – budzącego skojarzenia z Białoszewskim albo z powstańczą płytą Lao Che – polega na rezygnacji z kodów heroicznym na rzecz ujęcia, w którym jest miejsce i na bohaterstwo, i przekleństwa stróża, który musi kopać grób dla zabitego powstańca.

Babka klozetowa

„Zostanę na starość / babką klozetową. / Będę pisać wiersze / przychylnie cielesności / jak dwa zera. (...) / Może pewnego dnia / do dwóch zer przyjdzie / cynik Diogenes. / Może pogada ze mną / o siostrze pęcherza i jelit / – o duszy”.

Prawdę mówiąc, nic na ten temat nie wiadomo, aby Anna Świrszczyńska wcieliła ten pomysł w czyn i podzieliła pragnienie bohaterki swego wiersza. Do samego końca pisała jednak wiersze przychylnie cielesności i ciała. To ostatnie zabiło ją 30 września 1984 r. ♦

→ GRZEGORZ OLSZAŃSKI jest historykiem literatury, redaktorem działu muzyki w kwartalniku „Opcje”. Pracuje jako adiunkt w Zakładzie Sztuki Interpretacji i Poetyki Historycznej UŚ w Katowicach. Autor książki o twórczości poetyckiej Ewy Lipskiej i trzech tomów poezji (ostatni to „Kroniki filmowe”). Stypendysta tygodnika „Polityka” w ramach akcji „Zostańcie z nami!”.